

**SPECJALNIE NA PŁYTĘ
„THE FEEL OF DEFIL 8”**

ZESPÓŁ

UPADEK 66

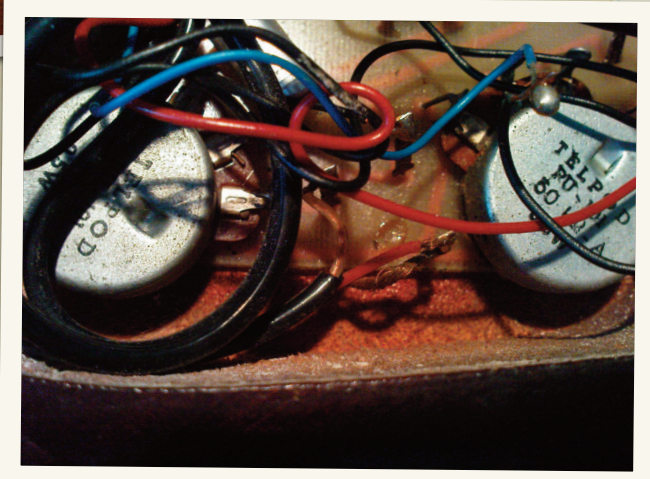
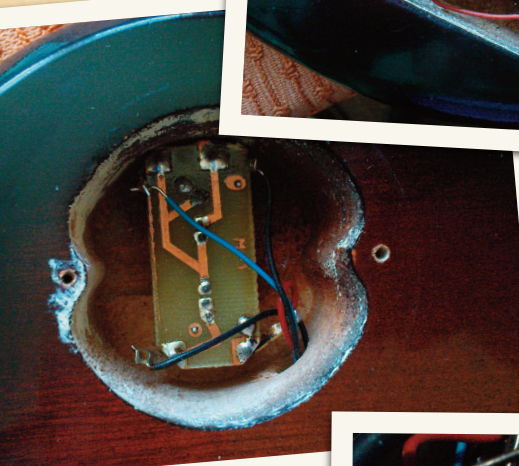
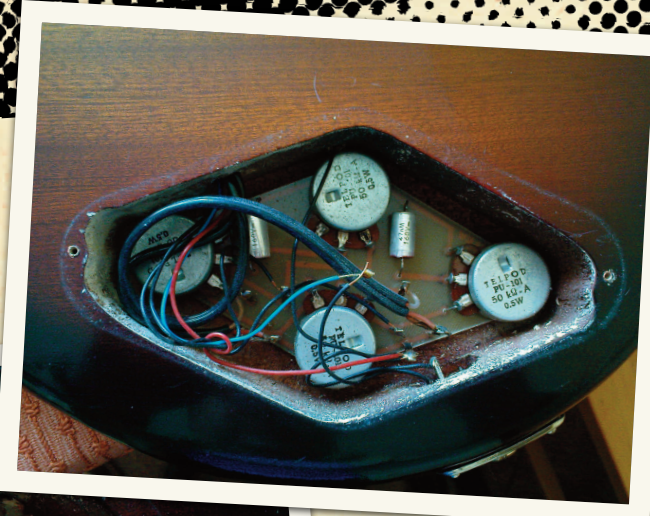
**W UTWORACH „LEWUS” I „PIĄTY”
TEKSTY: RARÓG, MUZYKA: UPADEK 66**

UPADEK 66 TO:

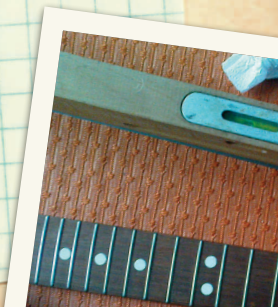
**RARÓG – WOKAL, YURGEN – GITARY,
BĄBERBI – BAS, ZESZYW – BĘBNY**

**W NAGRANIACH WYKORZYSTANO GITARĘ
„ASTER” PRODUKCJI ZAKŁADÓW DEFIL
W LUBINIE, POCHODZĄCĄ Z 1991 ROKU.**

JEDLINA-ZDRÓJ, LISTOPAD 2023



Co się zaś tyczy gitary „Aster”,
to w utworze „Lewus” zostało
na niej zagrane wszystko poza
krótka solówka po pierwszej
zwrotce, natomiast w kawałku
„Piąty” gra z prawej strony
oraz, pod koniec -- jako trzecia
gitara, w środku.



muzyka,
literatura,
grafika,
typografia,
fotografia,
filatelistyka,
antyki,
brydż...
...i inne pasje

ODLICZANIE DO KOŃCA ŚWIATA

Niezależny kwartalnik apokaliptyczny

Numer próbny, X – XII 2023

OdKS: Widzę siwiznę na twoich skroniach.

Raróg: Spodziewałeś się odzianego w skórę, obwieszonego agrafkami i żyłkami dwudziestolatka z irokezem?

No, może trzydziestoparolatka.

We wrześniu byłem w jednym z większych polskich miast, taki jednodniowy rekonesans. Obserwowałem ludzi, chłonałem klimat tego dobrze znanego mi przed laty miejsca, jego energię. Jestem przerażony. Chyba jeszcze nigdy w swoich dziejach ludzie nie byli tak ujednoliconi, sformatowani, można by powiedzieć. Niemal wszyscy wpatrzeni w te przerażające prostokątne, świecące trupio bladym światłem kawałki przeszklonej blachy, z których zazwyczaj wydobywają się rytmiczne, naszpikowane przekleństwami porykiwania żuli...

...to świecące nazywa się smartfon.

Dla mnie może się nazywać nawet smartshit. No więc wpatrzeni w te świecące gówna lub gmerający kompulsywnie paluchami po kieszeniach w ich poszukiwaniu, odziani w jakieś pobazgrane surrealistyczne łachy, których kiedyś nie założyłbyś do pracy w ogródku, porozumiewający między sobą monosylabami wymieszany z wulgaryzmami... Pogoda była piękna, więc mieli też okazję do dumnego prezentowania tatuaży, najbardziej oczywistego świadectwa upadku obyczajów, bezwstydnego deklaracji pogardy dla swojego ciała i dla otoczenia, do niedawna zarezerwowanej dla przestępców. Idzie na przykład taki „tatuś”, obok niego drepcze małe dziecko, drugie wiezie w wózku. On cały „wydziarany”, na czarnej koszulce napis, jeśli dobrze pamiętam: „In the land, when shadow reign forever” lub coś w tym stylu. Na kogo on wychowa swoje pociechy? Na inkarnacje demonów? Albo taka nastolatka, niemal dziecko, z buzią noszącą jeszcze ślad niedawnej niewinności, a ubrana jak prostytutka. Wątle ręce i nogi upstrzone ordynarnymi, sinymi bohomażami, nos zmasakrowany kolczykiem, na głowie wielkie słuchawki podłączone do „blachy”, po której bezustannie szura palcami. Pomyślałem, że mogłaby być moją córką i zachciało mi się zawyć: dziecko, na litość boską, coś ty z siebie zrobiła?! Mówię o tym, bo prym w tej superdekadencji wiodą niestety młodzi, ale starszym też nic nie brakuje.

Jednym słowem: Sodoma i Gomora.

Myślę, że biblijne Sodoma i Gomora miały się do obecnego stanu rzeczy jak filmy erotyczne do hard porno; przepraszam za takie obsceniczne porównanie. Chodzi o to, że nie widzę szansy na pozytywny, żeby nie powiedzieć — pozytywistyczny bunt młodych. Jest taki film „Komórka” z Cusackiem i z Samuelem L. Jacksonem. Jesteśmy już tylko o mały krok od przedstawionej tam rzeczywistości. Nieliczne grono starych przyków podejmuje jeszcze wysiłek, dosyć rozpaczliwy, trzeba powiedzieć... nawet nie buntu,

ale wydania z siebie krzyku: „Ludzie, opamiętajta się!”, że zacytuję inny, tym razem polski film „Big Bang”.

Ale przecież, kiedy ty byłeś młodzieniaszkiem, też nie brakowało różnych odmieńców.

Oczywiście! Daleki jestem od gloryfikowania „moich” czasów! Trzeba jednak zwrócić uwagę na podstawową różnicę między tamtymi odmieńcami, jak ich określiłeś, a dzisiejszymi.

Punk to jedyny uczciwy wybór

Rozmowa z Rarogiem, wokalistą
i tekściarzem zespołu Upadek 66

Wtedy był kontekst lub nawet konteksty do bycia innym. Żyły sobie jakieś punki ze swoim widzeniem świata, byli hipisi, metalowcy, rastafarianie, starzy bluesmani — to subkultury wyrosłe wokół muzyki — ale byli też polityczni opozycjoniści, ich manifestacje, happeningi, ulotki, prasowa bibuła i całkiem poważne publikacje drugiego obiegu, nielegalne radiostacje i tym podobne antysystemowe znaki czasu. Było mnóstwo młodzieży idącej za charzmatycznymi protestanckimi ugrupowaniami chrześcijańskimi, ludzie zafascynowani myślą Wschodu, grono literackich snobów z długimi brodami i bezlitośnie dymiącymi papierosami. To wszystko miało wyrazistość, sznyt, rys duchowy, mówiąc górnolotnie, było emanacją poszukiwań, chęcią wyrwania się z okowów szeroko rozumianego systemu, bo nie tylko o ustrój polityczny przecież chodziło. Ludzie mieli zainteresowania, pasje, zależało im na poszerzeniu świadomości — oto słowo klucz. Potem załatwili nas, uspili i mentalnie rozbroili rozpasaną konsumpcją, wzięli „na cukierki”, więc oto mamy format, sztancę, stereotyp, matrycę, kiedy psychopata zakomenderuje — zbiorową histerię, jakąś pieprzoną hipnozę i kompletny brak treści. Przelewa się wszystko beładnie, bezwolnie niczym breja w kadzi, którą kołyszają manipulatorzy.

Po solidnej dawce „ideolo” idźmy ku tematowi muzycznym. Dlaczego punk?

Bo to jedyny uczciwy wybór w czasach, o których wypowiedziałem swoje zdanie.

Skoro wybór, to jest w tym trochę kreacji? Moglibyście na przykład wybrać bluesa albo heavy metal.

Jest. Jak w typografii — dobierasz odpowiedni krój pisma do treści, które ma ono wyrażać.

A ty, o ile wiem, zajmujesz się typografią zawodowo.

Można tak powiedzieć... Mówisz — metal. Warsztatowo dalibyśmy radę grać metal bez wirtuozerkich wygibasów, ale nie wyobrażam sobie, że można być dzisiaj wiarygodnym, snując filozoficzno-metafizyczno-ezoteryczne rozważania nad istotą Zła i Dobra, podlane baśniową metaforyką, do czego metal dobrze się nadaje, ponieważ od trzech lat karty są wyłożone na stół. Wiemy, co jest i co będzie grane, i kto jest po której stronie. Każdy człowiek o niezaburzonem życiu emocjonalno-intelektualnym miał w tym okresie możliwość poczuć się jak pionek, śmieć, czyli jak punk. Dlatego ten styl muzyczny, ze swoją rzuconą słuchaczowi w twarz bezkompromisową publicystyką, jest najodpowiedniejszy.

Do publicystyki trzeba mieć dobry zasięg.

Otóż to, dobrą tubę, ale żyjemy w realiach małych, mikroskopijnych wręcz nakładów, więc zapomnijmy o dużym audytorium.

Zamierzacie zadebiutować na bardzo niszowym wydawnictwie.

W Poznaniu jest taki zacny człowiek, pasjonat — a pasjonatów trzeba wspierać — Emil Bonifaczk, który ma wydawnictwo Bonimedia i jest miłośnikiem starych polskich gitar...

...ale wy nie jesteście z Poznania?

Nie, my jesteśmy z Jedliny-Zdroju, niewielkiej miejscowości na Dolnym Śląsku.

Punk w uzdrowskiej idylli?

Zdarzają się takie sytuacje. No więc ten Emil corocznie wydaje składankę z cyklu „The feel of Defil”, poświęconą gitarom produkcji nieistniejących już zakładów Defil z Lubina. W grudniu ukazuje się kolejna część tej kompilacji, być może z nami w zestawie.

A wy gracie na defilach? Na tym w ogóle dało się grać?

Nie dało, ale... Nasz gitarzysta odkupił od kogoś parę lat temu, chyba za mniej niż dwie stówki, takiego defila „Aster”, na którym od biedy można było próbować grać, ale naprawdę od biedy. Gitara miała wszak owo „coś”, znalazł więc faceta, który lubi i umie pogrzebać w takich atrefaktach. Nie żadnego tam lutnika — teraz namnożyło nam się „lutników” — ale amatora, który, jak na amatora przystało, podchodzi do roboty z dużym sercem, no i ten człowiek popracował nad gryfem, zdarł podstrunnice, wdrożył jakiś swój patent na wzmocnienie szyjki, nabił nowe progi,

Dokończenie na str. 2

Punk to jedyny uczciwy wybór

Dokończenie ze str. 1

wstawił normalny mostek, strunociąg i co tam jeszcze, i zrobiła się całkiem znośna, nietypowo brzmiąca gitara. Trzeba podkreślić, że z oryginalnymi przetwornikami, naprawdę dobrymi. Ja sam grywałem na deflach w czasach, gdy nie było zbyt wielu wyborów. Na basie „Luna”, na półpudle „Malwa”, na „Joli 2”. O rany, jaki z tej ortopedycznej „Luny” wychodził basior...

Skąd jest ten facet?

Z Wałbrzycha. Dziesięć kilometrów od nas.

Zaraz, poczekaj... Wałbrzych? Czy to nie tam rządzi się ten tył, o którym telewizja w Realu24 pokazywała kilka razy dosyć wstrząsające materiały?

To tam, ale nie będziemy chyba o nim gadać, zaręczam, że nie ma o kim.

Ale to temat na niezły punkowy wyrryp!

Chyba żartujesz. Klasyk powiedział: „Są granice, których przekraczać nie wolno” (śmiech). Chyba bym się porzygał, gdybym miał grać utwór o takim indywiduum.

Byłby rzyg jak na płycie Dead Kennedys.

Taaa...

Skoro jesteście przy Dead Kennedys. Miałem możliwość przedpremierowo posłuchać demówek paru numerów z płyty, którą przygotowujecie. Czasami w twoim głosie pobrzmiwia Biafra.

Bardzo możliwe. Ten niby-Biafra wyszedł spontanicznie, można rzec, nieproszony. Rzadko, ale czasami tak się dzieje, że „ktoś ci wychodzi”. Lata temu, kiedy próbowałem śpiewać metal, ha, ha, wyszedł mi nieoczekiwane Geddy Lee, ale wczesny, który dał się jak Baba Jaga. Innym razem, na moim solowym kawałku — uważaj! — Maciej Kossowski, ten od „Wakacji z blondynką”.

No przestań!

Wyszedł mi też... (gromki śmiech) O, ludzie... Nadal.

Co nadal?

Ten tenisista, Rafael Nadal (rechet).

A on śpiewa?

Nie! Stęka! Kogoś celowo małpujesz i efekt groteskowy. Chciałem spróbować zaryczeć jak Jaz Coleman. Nie umiałem, za to perfekcyjnie wyszło mi to Nadalowe yyy! yyy! Rany, ale się uśmiełem... Szkoda, że nigdy nie wyszedł mi Ronnie James Dio.

Muszę przyznać, że chociaż słyhać u was wpływy innych kapel, to macie swój styl i te naleciałości nie są nachalne. Chciałbym jednak, żebyś przyznał się do paru inspiracji — poza Dead Kennedys, rzecz jasna.

W muzyce rockowej, nie tylko w punku rocku, niemal wszystko zostało powiedziane, niewiele jest do odkrycia, więc kiedy słyszysz rzeczy współczesne, zaraz nasuwają ci się skojarzenia historyczne. Mogę tu rzucić garść nazw zespołów, ma się rozumieć — z ogromną pokorą, bo to sama klasyka gatunku. Discharge na przykład. Człowiek wraca do ich pierwszej płyty „Hear nothing, see nothing, say nothing” i zastanawia się, jak to możliwe, że ta muzyka powstała w 1982 roku! Ona dzisiaj jest profe-

tyczna! Potem mieli okres błędów i wypaczeń, rozpadli się, ale zeszli i udanie wrócili do korzeni. Exploited — tu obejdzie się bez komentarza. Killing Joke — podobnie. Była taka kapitalna amerykańska kapela No Trend z płytą „Too many humans”. Klaus, Bill i Yuval już się uśmiechają, ale tytuł był przewrotny. Szkoda, że szybko zeszli na manowce. Nie Klaus i jego gang, bo oni są tam cały czas, tylko No Trend zeszli. Bad Brains byli fenomenalni. No i — muszę ich wymienić — Voivod.

Och, tu ostro poleciałeś. I jednak metalowo.

Od czasu „Killing technology”, czyli od 1987 roku uważam, że Voivod to najwybitniejszy zespół metalowy. „Zabójcza technologia” — czy to nie brzmi jak prorocstwo? Przy tym jedną nogą tkwili w punku, bez wątplenia. W śpiewie Bélanger'a często pobrzmiwa John Lydon.

A z polskich rzeczy?

Myśmy mieli bardzo ciekawą nową falę, na światowym poziomie, ale punk... Zresztą, wówczas nie śledziłem rodzimego punka; w Jarocinie nigdy nie byłem, na płytach prawie nic się nie ukazywało...

Brygada Kryzys!

Fakt, Brygada! Ich longplay był bardzo trudny do zdobycia i usłyszałem go dopiero... bodaj w 1984 roku. Pierwszą polską płytą punkową, którą kupiłem, był debiutancki tonpressowski singiel Dezertera.

I co, jaka reakcja?

Razem z kumplem, słuchając „Spytaj mili-cjanta” i reszty tej płytki, tarzaliśmy się ze śmiechu. Muszę jednak przyznać, że nazwy polskich kapel punkowych były nie do pobicia. Na przykład Mocz Tenora albo Nagły Atak Spawacza, albo Brzytwa Oi!ca, Magister z Wyciętą Przy-sadką Mózgową, Napalmowa Niedziela. Coś pięknego!

Zachowałeś ten singiel Dezertera?

Tak!

Kolekcjonujesz winyle?

Mam może około dwustu, trzystu. Kompaktów ze trzy razy tyle.

Czyli „cyfra” ponad wszystko?

Zdecydowanie! Jak widzisz, wychowałem się na winylach i dlatego... szczerze nie cierpię dźwięku z tego nośnika. Oczywiście, jego obecny renesans to sympatyczne zjawisko. Granie na sentymentach jest zawsze przyjemne, jednak, obiektywnie patrząc, a raczej słuchając... jak można się zachwycać zakłóceniami? Ja mam leciwi i mocno średni sprzęt, więc kiedyś pomyślałem, że pewnie dlatego nie umiem docenić brzmienia z winyli...

...ciepłych basów?

O właśnie, ciepłych basów! Poszedłem więc dwukrotnie na demonstrację sprzętu audiofilskiego, który kosztował tyle co czołg albo samolot, nie wiem... Czekam z niecierpliwością na jakiś winyl. W końcu jest, z namaszczeniem położony na gramofon o wyglądzie statku kosmicznego. Leci muzyczka... O rety, to mój gramofon gra? Ten sam kanciasty, szorstki, tek-turowy, zamulony, wąty dźwięk, co u mnie. Dajcie spokój! Ma się rozumieć, są winyle, które brzmią dobrze. Mam taki koncert Sagi „In transit” — brzmi genialnie, Rush „Grace under pressure” też, podobnie Van Halen „Fair warning”, taka polska składanka rockabilly wydana przez Tonpress — rewelacyjnie, i jeszcze parę tytułów by się znalazło. Co do reguły jednak, winyl jest fajny, żeby go pogłądać, powąchać, potrzymać w rękach, ale do słuchania — tylko

kompakt. Poza tym, słucham coraz mniej, trochę mi się odechciało.

Dlaczego?

Zmierza mnie postawa muzyków rockowych, tych moich dawnych bohaterów... pieprzonych, w czasach „wykładania kart”. Wiesz, niby nie powinienem się dziwić, bo oni zawsze ostentacyjnie plasowali się po stronie mroku, ale jakże naiwnie chciałem w tym widzieć drugie dno. Spisywałem taką postawę na karb artystycznej pozy, przekory, zachęcania słuchacza do myślenia, do polemiki. W tym wywalaniu stone-sowskiego jezora dopatrywałem się antysystemowości, jak słusznie powiedział Alex Jones: pieszczochów globalistów. Zbiorowisko bęcwałów, którzy ledwo czytać i pisać potrafią, a mają „naukowe podejście” do świata. Ucieleśnienie systemu, a nie jego antyteza! Teraz udają, że nic się przecież nie stało. Niczym ktoś, kto potężnie pierdnął w towarzystwie i uparcie skrzypi krzesłem, zamiast przeprosić.

Ale wyjątki są?

Ted Nugent! Wujek Ted muzycznie przekonuje mnie średnio — choć to świetny i w sumie niedoceniony gitarzysta, taki trochę proto-Eddie Van Halen. Chylę jednak czoła przed jego odwagą, bezkompromisowością w publicznym głoszeniu niezłomnych poglądów. Ponadto, znakomity i sympatyczny z niego gawędziarz. Wspomnę też Joe Lynn Turnera...

...przypomnij, skąd ja go kojarzę?

On był wokalistą Rainbow w pierwszej połowie lat 80.

Aaa, tak!

Obecnie nagrywa solowe płyty, bardzo ostre. Ta ostatnia, pod znamienym tytułem „Belly of the beast”, godna polecenia i wsłuchania się w słowa.

No właśnie, słowa. Łatwo ci się pisze?

Słowa najczęściej przychodzą same, trzeba być po prostu na nie gotowym.

Piszesz teksty nie tylko dla zespołu, ale i do swoich solowych kawałków.

Ach, te moje solowe kawałki... Pierwszą płytę nagrałem w latach 2005-2006, nosiła tytuł „Awarie”. Poza tym, że rozdałem egzemplarze paru znajomym, leży w szufladzie do dziś. Już wówczas byłem skutecznie wyleczony z „poszukiwania wydawcy”. W roku 2019 skomponowałem i nagrałem większą część drugiej płyty, ale straciłem do niej serce aż do roku 2022, kiedy dograłem kilka nowych „piosenek”. I znowu zarzuciłem prace. Jest więc nagrana w całości, trzeba ją tylko zmiksować.

Masz płytę i nie ujawniasz jej, bo nie chce ci się jej zmiksować?!

Tak. Nie mam prądu.

W gniazdku?

W sobie. W gniazdku jeszcze mam. Brakuje mi wewnętrznej energii, motywacji. Nikt na tę płytę nie czeka, to po pierwsze. Po drugie — nosi ona tytuł „Humor” i zawiera końską dawkę wisielczego, czarnego humoru, który przeraża nawet mnie, twórcę.

Inaczej mówiąc: zagraża bezpieczeństwu?

Ooo, chłopie, teraz wszystko zagraża bezpieczeństwu. Nie znam bardziej niebezpiecznego słowa od słowa bezpieczeństwo. ■